Nro 2.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 14 stycznia 1847. Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 1 stycznia 1847.

Stroje damskie. Ruch nadzwyczajny panuje tu teraz wokoło; wszędzie tylko przygotowania do zabaw, do balów; damy nasze o niczem innem nie mówią jak tylko o strojach w jakich występywać mają; w największym jednak ruchu są teraz modystki tutejsze które jak zawsze tak i tą razą wszelkich dokładają starań ażeby sztuką swoją podwyższyć jeszcze wdzięki pięknych pań naszych. Słychać iż najwięcej używane na tegoroczne zabawy będą suknie z lekkich i przezroczystych materij w kolorach jasnych, lecz kolor biały zdaje się iż będzie panujący. Kwiaty zapewne wielką będą tego karnawału odgrywać rolę, gdyż po wszystkich składach dużo ich spostrzegać można, a wszystkie ładne i aż do złudzenia naśladujące naturę.

Stroje męskie. Paletoty noszą na dwie strony zapinane, z plecami niezszywanemi lecz z jednej krajanemi sztuki; kołnierz i wyłogi są średniej szerokości.

We frakach ta zaszła różnica iż tak mocno wykładają się z przodu że kamizelka całkiem jest prawie widoczna; stan bywa przy nich długi i wązki; poły są bardzo szerokie, a z przodu nie łamują się niczem.

Kamizelki krają się prosto, i do połowy tylko zapinają się; a tak są wycięte że koszula jest widoczna.

Spodnie noszą do pół nogi obcisłe; szwy przy nich są widoczne, dla tego że się nie gubią w pasach lub kratach.

Rycina przedstawia dwa stroje balowe. Suknia z różowego atłasu dwoma korunkowemi falbanami przystrojona; falbany te są tak szerokie iż zakrywają dwie trzecie części sukni; stanik gładki, wycięty i kończasty; berta z angielskiej korunki; rękawy krótkie; we włosach ptak rajski, zgrabnie przypięty. Suknia z atłasu żółtego której spodnica przystrojona od dołu aż do kłębów krepą w rurki układaną; stanik gładki, wycięty i kończasty z trzema rzędami rurek, które bertę stanowią; rękawy krótkie podobnie jak stanik ubrane; na głowie ubranie ze śrebrnej gazy w kształcie zawoju, ze śrebrną fręzlą i z błękitnem piórem z boku przypiętem.

NOWSZE POWIEŚCI POLSKIE.

2.

SPEKULANT

powieść

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

Wiele już pisano o tem że celem utworu sztuki jest piękność, że gdzie piękność jest wcielona tam znajdzie i prawdę i moralność i wiele innych podrzędnych celów. Jeżeli zaś powieściarz za ostateczny cel wytknie dziełu swemu moralność, naukę, wtedy napisać może zajmującą bardzo xiążkę, którą przez lat kilka nawet chciwie i z pożytkiem czytać będą, lecz niech nie rości sobie prawa do nazwy powieściarza artysty.

Z tego względu powieściarzów podzielićby można na dwa obozy... utylitarnych piszących głównie dla nauki i poprawy, i artystów. Do obozu pierwszego zebraćby można liczny bardzo zastęp a do obozu drugiego, ubiegających jest wielu, lecz dotąd jeszcze dla nas wejście zatarasowane... cierpliwości!...

Oto ogłosił powieść pisarz, który w dawniejszych swych dramatach dał dowody głębokich studiów formy i charakterów. U powieściarzów polskich był zawsze nadzwyczajny brak dramatyczności. Korzeniowski w

trajedii właśnie celuje dramatycznością. Wszelkie uprzedzenia mówią za nim.

Nie obojętna rzecz jest dla artysty, zkąd bierze przedmiot do swych utworów. Jeżeli pole jest nowo przez powieściarza odkryte, postacie powieściowe będą świeże; a jeżeli jeszcze zakres jest obszerny a ramy potężne, zmieścić w nich może wielką rozmaitość postaci.

Wszystkie prawie dotychczasowe powieści polskie z jednego pola biorą materiał; zajmują się wyłącznie dworem szlacheckim. Najwięcej jeźli dla rozmaitości wprowadzą jarmark, żyda arendarza lub wiernego sługę.

I coż ztąd wynikło iż w tak szczupłych ramach zamknęliśmy powieść? Oto we wszystkich powieściach podobniuteńkie do siebie występują postacie, brak jest wszelkiej rozmaitości, która nieodzownie w sztuce potrzebna. Intryga przy podobnych stosunkach nasuwa się zawsze podobna, koloryt jednostajny jakgdyby wszyscy w jednej farbie maczali pęzel. Dodać jeszcze do tego należy niezaprzeczony brak inwencii u naszych powieściarzów, co my bardzo naiwnie chwalimy jako prostotę i naturalność, a smutny wypadnie obraz tej najbogatszej gałęzi literatury.

Zarzuci może kto, że my niemamy innego przedmiotu do powieści, że w tej tylko warstwie znachodżi się życie. Wyznajmy raczej: najpierw że właśnie tegoto życia znachodzącego się w tej warstwie nawet w dalekiej perspektywie powieściarze nasi nam nie ukazują. Powtóre że znalazłaby się największa rozmaitość przedmiotów, gdybyśmy tylko umieli dostrzedz jej. Ależ my patrzymy a nie widzimy. Niemamy oczu. Śród powszechnego rozbicia, gdzie wszystko rozleciało się na drzazgi, ileżto potworzyło się obcych i swoich narośli, rozlicznych, najosobliwszych stosunków i postaci, które drażliwie naprężone stanęły obok siebie. Prawda że te stosunki i postacie w życiu nie mają ognisk, w którychby skoncentrowały się i silnie objawiły. Ależ to zadaniem poety aby wszystko podniósł i dokształtował. Gra postaci osobnych jest drobna, niechże nam powieściarze choć w najdalszej perspektywie ukażą potężną grę całej powszechności, a pod ożywczem ztamtąd płynącem światłem podniosą się i zolbrzymieją postacie drobne wszelkich warstw społeczeństwa. Niepodobna żądać aby nam tę grę powszechności jako chorągiew wywieszano, na tem i nie wiele zyskałaby sztuka, a dla pisarza byłabyto rzecz łatwa. Trudniej daleko bez szumnego rozprawiania wprowadzić grę powszechną w najdrobniejsze indywidualne stosunki, które dziś obojętne nabrałyby przez to ważności narodowej. Idąc tym torem na zachodzie objęła obecnie powieść wszystkie warstwy towarzystwa od najniższej do najwyższej, dotknęła wszelkich stron życia społecznego i narodowego, urosła w rozmiary epopei. Dlaczegoż my mamy wlec się jak marodery za wojskiem i pisać dla rozrywki i pocieszenia tkliwych serc dworskich czułe *sielanki dworskie?*

Taką sielanką dworską (niepodobna nawet zliczyć którą z kolei w literaturze polskiej) jest powieść Józefa Korzeniowskiego: Spekulant, chociaż napisana z wielkim talentem i sztuką.

W tej powieści zakres wchodzą trzy dwory szlacheckie karczma i jarmark. Charaktery skreślone następujące: S p e k u l a n t pan August. Pieniądz u niego wszystkiem, więc przy miernym szlacheckim majątku ożenienie bogate uważa jako jedyny środek do dopięcia celu. Spekuluje na małżeństwo Postać zakreślona z początku śmiało; w dalszym ciągu powieści, gdy trudności i przeszkody zachodzą mu w drogę, a spekulant całą dzielność założonego charakteru rozwinąć powinien, on usuwa się z pola jak wódz przed wydaną bitwą. Zarzuciéby można że cały charakter za nadto dogmatyczny. Oprócz zimnego wyrachowania żadne uczucie ludzkie, żadna namiętność nie zagrała w duszy jego. Podobniejszy do mumii niż do człowieka, bo duszy ludzkiej w nim niema. Nie dosyć podobno było zimną wyrachowaną spekulacią nacechować charakter Augusta. Charakter człowieka powinien być chórem najrozmaitszych tonów, przez które przesunięty jest ton główny, zasadniczy, który nadaje kierunek i cechę charakterowi Lecz jak sam jeden bez towarzystwa, w muzyce nie stanowi harmonii, tak charakterowi sam jeden nie nadaje ruchu, życia. Miałby więcej życia August, gdyby odzywały się w nim były rozmaite złe lub dobre, lecz ludzkie uczucia i namiętności np. przyjaźń, miłość, skąpstwo, zazdrość, zawiść itd., lecz nad tem wszystkiem górę zawsze brało zimne wyrachowanie spekulanta, ton zasadniczy charakteru.

K l a r a. Charakter wprawdzie poetycznie nie podniesiony wysoko, lecz bardzo trafnie schwycony z życia i przeprowadzony wynikle aż do końca. Owa teatralność w wesołych czy smutnych wydarzeniach uzasadniona w charakterze i w wychowaniu dziewczyny. W gruncie charakter aż do końca wierny sobie, chociaż rozmaite z niego wydobywają dźwięki.

Ojciec jej C h o r ą ż y, człowiek skąpy a próżny, a prócz tego nic więcej, postać powszednia i zanadto jednostajna, zakrawa na karykaturę. Podnioślejszy jest charakter m a t k i K l a r y. Za wolą rodziców poszła za mąż, z rezygnacii jedynie jest uległą żoną

człowieka, którym pogardzać musi. Potulna i bierna całe życie, w gorączkowe wpada działanie, męskiej nabiera siły, gdy zagrożona przyszłość córki, w której widziała jedyne szczęście i cel swego życia. Wtedy prawdopodobną wynikłością jest, iż dla uratowania jak matce się zdaje córki, zmusza ją do zaślubienia człowieka, którego nie kocha. Lecz z drugiej strony jest najnieprawdopodobniejszą wynikłością z charakteru **marszałka**, tego ideału uczciwości, iż dla przyjaźni chorążyny poślubia dziewczynę, która go odtrąca od siebie. Mógł to uczynić człowiek, któremu namiętność odebrała zmysły, więc za ślubiając Klarę, myśli że czyni to sumiennie, dla przyjaźni, podczas gdy samolubnie dogadza uczuciu własnemu; nie uczyniłby tego był marszałek, człowiek wprawdzie głębokiego uczucia, lecz w każdej chwili zdrowego rozsądku, samowładnie panujący nad sobą.

Do zawikłania i intrygi powieści wchodzi jeszcze trzy osób. **Żyd Abramko**, charakter zużyty. Celuje jedynie dokładnem odkopiowaniem z natury w czem Korzeniowski pierwsze u nas zajmuje miejsce. **Pan Paweł**, poeta powiatowy obrazek z niderlandzkiej szkoły, szkic rzucony trafnie, lecz za jaskrawemi potem nałożony farbami. W nim zbiera się wesołość i komika całej powieści, lecz jedno i drugie jest wymuszone i zaczęsto w jednostajnym sposobie powtarzające się. Osobliwie w jednostajny sposób powtarza się komika, podobna do owej chłopięcej, gdzie śpiącemu namażą węglem wąsy, budzą go potem i śmieją się wszyscy z niego. Najoryginalniejszą z całej powieści postacią jest powiatowy plotkarz-filozof pan **Kasper** Barski, charakter z talentem i śmiało pomyślany a chociaż nie wydaje się nam bynajmniej kopią odwzorowaną z natury lecz utworem własnym poety, przecież tem więcej ma prawdy w sobie i to głębokiej, poetycznej.

Przebieglszy galerię charakterów wypadałoby powiedzieć o osnowie. Lecz raz że ramy dziennika są szczupłe, powtóre że i w najobszerniejszem opowiedzeniu najpiękniejszych stron osnowy oddać nie można, więc zwrócimy jedynie uwagę na wydatniejsze przymioty tej powieści. Język żywy, wypracowanie ustępów mistrzowskie. Tem zachwyca wszystkich Korzeniowski. Najmocniej zaś uderza silna dramatyczność. Tak szybko i bez przerwy rozwija się działanie, że czytelnik niema nawet czasu wytchnąć i zastanowić się nad tem co przeczytał. W prawdzie dramatyczność powieści różnić się powinna od dramatyczności trajedii stosownemi chwilami wypoczynku, aby czasem i pisarz i czytelnik odetchnąć mógł swobodniej i obejrzyć się po zasiebie, alež w tym względzie łatwiej się z autorem pogodzić. Szkoda jedynie niektórych pięknych miejsc opisowych i meditacij autora, nad któremi czytelnik zatrzymać się nie może, bo go działanie naprzód pędzi. Jeden tylko ton fałszywy przeciął po mistrzowsku zarysowaną budowę powieści. Jak sternik rozpiąwszy wszystkie żagle okrętu śmiało zmierza ku wytkniętemu celowi, lecz w pół drogi przychodzi mu na myśl cel inny, nagle wymyśliwszy sobie przeszkody, dla których w zamierzony pierwej cel płynąć nie może, zwraca w bok okręt i inny mu nadaje kierunek, tak uczynił Korzeniowski w osnowie tej powieści. Wszystkie sprężyny w budowie założonej zmierzały ku ożenieniu się spekulanta z bogatą Klarą. Przeszkody miały rozwinąć walkę, dramat. Lecz właśnie gdy walka rozpocząć się miała, autor każe spekulantowi niezgrabnem pośliźnięciem się wypaść z przyjętej roli, a Klarze pójść mimo woli za marszałka. Takim nieuzasadnionym zwrotem odrzucił wszystkie sprężyny pierwotnego założenia, i nową rozpoczyna powieść w sielankowym duecie. Wprawdzie piękna jest osnowa w nowej powieści i z wielkim talentem przeprowadzone np. upor Klary, przełamanie go, zbliženie się do marszałka itd. zawsze jednak wygląda jak piękny, romantyczny, szwajcarski domek wystawiony na posadzie wyprowadzonego do połowy gotyckiego zamku. Trzeba tu jeszcze dodać że wytknięte powyżej niewynikłości w charakterze spekulanta i marszałka, z tego źródła wzięły początek swój.

Spytaćby tu można co zniewoliło autora do rzucenia takiego rozdźwięku w artystyczną zresztą budowę powieści? Jabym odpowiedział, że chęć nauczenia, poprawy, chęć stania się utylitarnym. Chciał nam odrażający dać obraz naszych spekulantów, chciał pokazać, że człowiek rozumny przełamać zdoła i upor niekochającej go żony, i rozbudzić w niej miłość, chciał lekcią dać naszym dziewczętom, a oraz w końcu sielankowem zakończeniem wycisnąć łzę z dusz czułych, jak istotnie wydobył łzę z oczu tkliwego recenzenta biblioteki warszawskiej. I dopiął utylitarnego celu, lecz ze szkodą powieściarza artysty.

J. Dobrzański.

EPILOG DO DRAMATU

PANICZ I DZIEWCZYNA

napisanego przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

(Dziewczęta otaczają półkołem zabitą Zonię i wiją z gałęzi nosze pogrzebowe. Na przodzie, po każdej stronie stoi dziewczyna przegięta na poły ku trupowi.)

DZIEWCZYNA *(z prawej.)*

O senna siostro! o czem ty marzysz,
Z zwróconą ku gwiazdom twarzą,

*

W milczeniu nocy czy tak się skarzysz
Jak białe róże się skarzą.

Głosu twojego tłum nie posłyszy,
Zrodzi się w ciszy i zginie w ciszy
Jak łza co serce wypłacze.
Ale był słowik co twoją spowiedź
Schwycił natchnieniem... więc i odpowiedź
Śle przez me usta prostacze.

O senna siostro! nie skarz się więcej
Choć cię na ziemię zepchnięto,
Aby cię szorstkie porwały ręce
A potem rzuciły. . zmiętą...

Nie skarz się, nie skarz! kwiat co swą wonią
Wiał nad niewdzięczną weselną skronią
I uwiądł śród pijanych śmiechu,
Lepszą miał dolę, niż ten co głazy
Obwijał kwieciem, aż mu się płazy
Wylęgły w brudnym kielichu.

Lepszą miał dolę kto przypadł kwiatem
Na serce bliźnie z wróżbą szczęśliwą;
Niż ten co wzgardził bogiem i światem
I wyrósł chwastem... pokrzywą.

Niż ten co bratni odstąpił wien'ec
I ściera z czoła wstydu rumieniec
Choć jutrznia patrzy nań ostro,
Niż ten co tarnią stanął śród drogi
By ranić świętych pielgrzymów nogi...

(Długie zadumanie, potem mówi zwolna)

O senna siostro!...

DZIEWCZYNA *(z lewej.)*

Na kurhanie. nad krynicą
Smutniała kalina,
Z zapłakaną tam źrenicą
Uklękła dziewczyna.

»Jak ja mogę być wesołą
Kiedy zdrój w żałobie,
»Jak tu z ziemi podnieść czoło
Kiedy matka w grobie.«

Leciał krasy ptak do wody
I ujrzał kalinę,
Wybiegł z strzelbą panicz młody
I ujrzał dziewczynę.

Oj kalino, nocą ciemną
Daj mi jagód swoich,
Oj dziewczyno, pójdź, pójdź zemną
Do pałaców moich.

»Pełne krwi jagody u mnie
To krew z nich wytryśnie,
»Już ten moim będzie w trumnie
Kto mnie raz uściśnie.«

Oj kalino, tu usiędę
By ci wiecznie śpiewać,
Oj dziewczyno, ja cię będę
Na sercu ogrzewać.

I nagięła się kalina
Do ptaka krasnego
I skłoniła się dziewczyna
W ramiona lubego.

Niewiem jakim pan wyrodny
Pozbył ją sposobem,
Dość że uciekł ptak swobodny
Z zakrwawionym dziobem.

(Muzyka upada kilkoma taktami.)

DZIEWCZYNA *(z prawej.)*

Dosyć tych pieśni, bo one po wierzchu
Płyną żywota jako lekkie łodzie;
Ileż tam walki w jego głębin zmierzchu,
Ileż tam dziejów na to dno osiada,
Choć gładkie niebo na wodzie.

Pieśń ma jak nurek w tę głębinę wpada
Długo się błąka w koralowym lesie,
Nim się na skałach ukrytych rozbije
Albo wam perłę wyniesie.

Mnie duch nieznany kładzie w usta słowa
Wyrzec je muszę na zaklęcie jego;
Sercem przeczuwam co nie pojmie głowa
Jam jak ptak morski co przed niepogodą
Spiewa, a niewie dla czego.

O senna siostro! i twą duszę młodą
Dopóki ciało trzymało w niewoli,
Życiem jak pieśnią igrałaś do woli.
Lecz gdy cię światy uniosły jaskrawsze
I tyś umilkła na zawsze.

Jakże się dziwnie ludzkie życie gmatwa!
Pokój nas czeka tam na drugim brzegu,
Niebo nam świeci, to przeprawa łatwa!
Więc się rzucamy szereg po szeregu,
A morze ciche, pogodą nas mami
Ciche, choć płynie naszemi łzami.

I ciebie siostro długo fala niosła
Niby w kolebce bez steru i wiosła,
Z ufnością krwawej oddałaś się fali
Myśląc że barwę wzięła od korali,
A ona ciebie z muszlami i pianą
Na brzeg rzuciła, z piersią roztrzaskaną.

(Po chwili.)

Każda myśl wielka przebywa męczarnie
Za nim ją ludzkość ogarnie
I serce miękkie nie maż boleć w łonie?
Za nim go wieczność pochłonie?

(odchodzi.)

DZIEWCZYNA *(z lewej.)*

(Podczas tej pieśni dziewczęta składają ciało Zoni na przyrządzone mary i obsypują ją liściem.)

Lekko, lekko, w krzyż jej ręce
Załamcie w pokorze,
A ja piosenką poświęcę
Jej liściane łoże.
Niechaj mary senne łono
Spiewno i zielono.

CHÓR.

Spiewno i zielono

DZIEWCZYNA.

Niechaj się tam biednej prześni
Że usnęła w strachu,
Przy słowika nocnej pieśni
Przy leśnym zapachu,
Że usnęła bez miłego
Czekając na niego.

CHÓR.

Czekając na niego.

DZIEWCZYNA.

Gdy spuścicie ją uśpioną
Do cichego doła,
To niech twarzą obróconą
Pogląda do sioła,
Czy nie wyjdzie kto z wieczora
Od białego dwora.

CHÓR.

Od białego dworá.

DZIEWCZYNA.

A gdy zbudzą ją anieli
Na swem łożu siędzie,
I krew ujrzy na pościeli;
To jej zdać się będzie
Że gdy miły ją uścisnął
Sznur korali prysnął.

CHÓR.

(Oddalając się z ciałem Zoni.)

Sznur korali prysnął.

(Muzyka żałobna. Zasłona spada.)

Kornel Ujejski.

ONA BYŁA NIEWINNA.

POWIASTKA

przez

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

»Pocoż dzisiaj te myśli smutne?« mówiła Amelia, bawiąc się z jedwabnemi puklami włosów kochanka, głosem pełnym smutku, co chciał pocieszać. »Po co obrazy, co mrożą uczucie. Silniejszy niż wszystkie zwątpienia, niech ci będzie głos mojej miłości, pamięć o mnie, i o przyszłości, którą przepędzimy razem, o naszej pięknej przyszłości!...«

»Amelio! nie spominaj mi tej przyszłości« mówił Bolesław, jakby naraz okropnie zbudzony. Na jej obraz, na samą myśl wstają naraz wszystkie gadziny uśpione w duszy, i kąsają i szarpią serca, myślami.. Przyszłość piękna!.. O! ja wiem.. przyszłość z tobą, to niebo, to szczęście na jakie słowa niema, uczucia niema... ale daj sił, daj sposób, ażeby wywalczyć tę przyszłość. Czy nie widzisz przepaści co straszna i ciemna jak trumna, grozi nam za każdym krokiem?... kaleczyć będzie, gryźć będzie. Nasza przyszłość to nędza, to rozpacz... i ty chcesz iść w nią swą drobną stopą wzwyczajoną do puchów, wątłem zdrowiem iść w burze, mierzyć się z życiem, targać z tym przeciwnikiem łakomym pastwy!... I ja podły, ja ciebie mam prowadzić tam, gdzie cię pewna śmierć czeka... Za miłość, za poświęcenie twoje podrzeć ci zdrowie, rozerwać przyszłość, co głośna i świetna czeka cię tutaj, ukraść ci ją dla siebie... Tu z piętnem hańby na czole iść w parze z tobą, z aniołem... lub tak wisieć jak dzisiaj między roskoszą a śmiercią, między niebem a szaleństwem, z Tantala żądzą, jak duch śmierci, duch przekleństwa twojego... Wskaż jaki sposób, daj drogę do szczęścia, do życia, nić Arjadny... powiedz czy masz go, gdzie, jakie zbawienia słowo? Amelio! mnie myśl gubi się jedna za drugą, skroń pęka trawiona pożarem... Mów słowo życia, słowo spokoju... Niebo, czy masz je... mów... mów...«

A słowa te urywane, przerażające, te ciemne obrazy przyszłości wstrzęsły całą duszą Amelii, bolały... i smutna, blada jak marmur Kanowy, podnosząc twarz posępną, ale spokojną, cichym szmerem wyszepnęła:

»Jedźmy.«

»O! nie powtarzaj mi tego okropnego słowa. Patrz! ja niemam już sił do walczenia. Moje zmysły mącą się, mózgu myślom nie staje. Amelio! nie bądź mi wężem pokusy, nie dorzucaj ognia... Na takie słowo twoje, mnie rzuca ostatnia myśl czysta, ostatnia szlachetność. Ty miej litość nademną i sama nad sobą. Wieszże ty jaki okropny wyrok potępienia wydałaś sama na siebie?... Ty myślisz, że tam za tym odmiennie pomalowanym słupem, z daleka od koła własnej rodziny, od wzwyczajeń dziecięcych, czeka cię swoboda, życie pełne wygód, śmiejące się szczęściem, matki roskosze, błogosławieństwo przyjaciół... Nic... nic... zdaleka zostawisz za sobą brzęki złota, co wypieściły od młodu twe ucho, pałace wybite adamaszkiem, świecące, wonne. Tam śród nieznajomych, śród ścian trzęsących się od wiatru, drżących mrozem, przecierpieć potrzeba będzie bole bez miary, słuchać płacz wokoło. Może drewniana łyżka przypadnie tej ręce wzwyczajonej do bogatego kruszcu i miękkich jedwabi.. I tam w to życie puste, w życie nędzy i męczeństwa, tam w ten kraj inny, gdzie się kwiat nie przeciśnie samowolnie, ptak zaledwo przeleci, tam pójdą za tobą płacze i przekleństwa, które tu posiejesz za sobą. Gniew rodziny, gniew matki klątwą bożą spadną na czoła nasze. One jak myśl straszna, zabójcza, nie starta niczem, jak ręka trupa stercząca wiecznie przed okiem, trząść będą sumieniem, zbrudzą roskosze. Nieubłagane, jeszcze w ostatnej chwili konania, one dręczyć cię będą, szarpać, wydrzeźniać, trupio... szatańsko... okropnie...«

»Dla ciebie« odrzekła Amelia, głosem cichym, ale jakimś przerażająco pewnym i stanowczym, »zniosę gniew rodziny, hańbę, ubóstwo... a nawet wygnanie.. Jedźmy.«

A w mieście tymczasem, coś roi się na około samotnego ogrodu pani szambelanowej, w mieście stołecznem, gdzie smutku niema, choć są pogrzeby i czucia mało, choć sterczą kościoły, gdzie o wszystkiem gadają, domyślają się o wszystkiem, chcianoby wiedzieć, mówią wiele o Amelii i o Erneście. Hrabia zmienił się wiele. Jego życie głośniejsze, żywsze niż wprzódy. Krawcy, kupcy, modniarze, masztalerze hrabiego, wszyscy ubóstwiają smak jego wytworny, dziwią się przepychowi, jakim otoczył się od niedawna, jego hojności i wesołości. Przerzuca wierz-

chowce i powozy, coraz bogatsze dobiera rzędy. Zachwyca miasto wytwornością swych smaków. Bo hrabia stara się o rękę panny Amelii i jest już bliski pożądanego celu. I hrabia kocha Amelią Niezupełnie jeszcze pewny pomyślnych skutków, nie mający prawa do tworzenia jej szczęścia, on by rad samym przepychem, samemi przyjemnościami otoczyć jej życie. Gdzie stąpi Amelia, czekają ją nowe kwiaty, wonie, nowe niespodzianki. I nieraz budzi ją ze snu czarująca, cicha muzyka, towarzyszka dumań porannych, co lubością sny opłynie i rozkołysze uczucia.. i kosze pomarańcz czekają na miękkiej ręki dotknięcie... a wyjdzie na ranną przechadzkę, to wszystkie ulice ogrodu, któremi przechodzić zwykła usypane kwieciem świeżem, wonniejącem, by pył nie dotknął atłasowego trzewika, cierń nie drasnął i myśl nie straciła porannej świeżości. Hrabia kocha Amelią przeczuciem balów, co z nią wyprawi, blasków co z nią rozsieje. Kocha jako królowę salonów, panią pałaców swoich. Dla niej raz jeszcze odżył żywem zajęciem, odetchnął nadzieją. Każe na nowo urządzać dobra swoje, odświeżać ogrody, wybijać pałace. Napróżno pani S* najpiękniejsza śpiewaczka opery nudzi się i cierpi migrenę. Hrabia nie bawi ją, nie odprowadza z teatru, nie wyprawia dla niej podwieczorków i przejażdżek. Zapomniał o niej. I próżno płyną miłosne, ogniste wejrzenia bogatych xiężniczek i hrabianek, drzą zazdrością, chciałyby odżyć dawnemi nadziejami... Hrabia na wszystko zimny; jedna Amelia będzie szczęśliwą.

Nadszedł dzień deklaracii. O dziesiątej zbudził się hrabia. Wesoły, klasnął na sługi, przyjął kilka wizyt, wypił kilka filiżanek mocnej herbaty, przerzucił dzienniki i zaczął się ubierać świeżo, wytwornie. Powóz, parę anglezów w zaprzęgu, jakimby się poszczycił pierwszy lord angielski, czekał już zaprzężony. Hrabia skończył ubranie, zapalił cygaro, szkło rzucił na piersi, błysnął rękawiczkami, co uderzyły paryską wonią i rzucił się do powozu.

Jakże pięknie wygląda hrabia Ernest rzucony niedbale na te jedwabne poduszki! konie parskają ogniem pełnej krwi angielskiej, powóz czarującą dla ucha ciekawców muzykę odgrywa po bruku. Magnaci mu się kłaniają, ubożsi stają i otwierają oczy. O! jakże szczęśliwą będzie Amelia! W takich powozach przelatywać życie, zbierać hołdy najbogatszych i najdumniejszych, siać podziw między wszystkich, mimowolnym dreszczem poszanowania orzucić każden salon przy pierwszym wstępie, panować uwielbieniu, trząść złotem, a to wszystko przy boku kochającego Ernesta .. O! Amelia będzie bardzo szczęśliwą!...

Powóz Ernesta zatrzymał się pod wystawą pałacu pani szambelanowej. Na dziedzińcu, na schodach był ruch jakiś nie zwykły. Nie mógł go pojąć hrabia. W kamasze przybrana liberia nie wybiegła wynieść go z powozu. Marszałek i kamerdyner nie wyszli, czekał u schodów. Do powozu pani szambelanowej któren stał przed gankiem, opuszczonym od szwajcara, zaprzęgano spiesznie konie pocztowe. Stary intendent i powiernik pani szambelanowej z nadzwyczajną szybkością biegł na schody i skłoniwszy się jeno, niechciał czekać na powitanie pana hrabiego. Służba kręciła się spiesznie, unikając zapytań Ernesta. Mała dziewczynka, pokojowa Amelii zanosiła się od płaczu. Hrabia przerażony, zmieszany szybko wpadł do salonu. Pani szambelanowa, bez rumieńca, w rozrzuconem rannem ubraniu stała na środku. W salonie takiż sam nieporządek, krzątały się kobiety.

»*Au nom de Dieu! que ce qui c'est passé ici?*« zapytał hrabia wpadając.

»Amelka!« wykrzyknęła pani szambelanowa, załamała ręce, i niedokończywszy odpowiedzi, w spazmach, półzemdlona padła na adamaszkową kanapę.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Kronika literacka.

Na polu historii ojczystej ujrzeliśmy u nas trzy bardzo ważne dzieła ledwie w kilkomiesięcznych przerwach po sobie wychodzące. Wszystkie mają cel jeden: wyjaśnienie mniejszego lub większego zakresu naszych początkowych dziejów; ale nieskończenie różne są widoki, środki, zasoby wiadomości i siły twórcze każdego z ich trzech autorów. Następujące są napisy tych dzieł zasługujących abyśmy je czytelnikom naszym choć kilką słowami przypomnieli.

1) Słowianie w badaniach początkowych z historii powszechnej. Warszawa w drukarni J. Tomaszewskiego 1845 Autorem jest podobno Baltazar Pietraszewski.

2) Pierwotne dzieje Polski i Litwy zewnętrzne i wewnętrzne wydał Wacław Alexander Maciejowski. Warszawa 1846.

3) Polska wieków średnich, czyli J. L. w dziejach narodowych polskich postrzeżenia. Tom I. Poznań, nakładem xięgarni Walentego Stefańskiego 1846.

Autor pierwszego z tych dzieł ma nowy, dobrze przemyślany i z silnem przeświadczeniem przeprowadzony pogląd na kolebkę rodu naszego. Z pojedyńczych kart widać w nim pisarza wielkich zdolności, nauki nieposledniej i wytrawnego pióra. Sposób jednak jakim rzecz swoją przeprowadza nie jest szczęśliwie dobrany: chciał pójść drogą średnią i napisać xiążkę zajmującą równie uczonych jak i lubowników nauki. Jakkolwiek xiążka jego jest dla pewnej liczby czytelników istotnie zajmująca wykładem pełnym życia, równie jak i nowością głównego pomysłu; w wielu jednakże względach niezaspakaja uczonego, przez brak naukowej ścisłości, a dla lubowników xiąg, z dziejami różnych narodów mniej obeznanych, przystępną nie jest. Mamy wszakże to przekonanie że między rozmaitemi widokami na pierwiastki rodu naszego ten który nasz autor odsłania, jest najtrafniejszy, i otrzyma przewagę prędzej lub później nad wszystkiemi, nie bez zmian jednakże w jednym lub drugim szczególe.

Maciejowski zbadał czasy od pierwszego do dziesiątego po Chrystusie wieku, pod względem zewnętrznego i wewnętrznego życia naszych przodków; podczas gdy autor o którymeśmy dopieroco spomnieli, wytężał głównie uwagę w czasy przedchrystusowe. Przy jasnym i łatwym wykładzie trzyma się Maciejowski ściśle formy naukowej, wszędzie przywodzi źródła, na czem tamtemu zbywa zupełnie. Z rozmaitych stron podciąga on pod rozwagę swój przedmiot. Obejrzawszy życie zewnętrzne ile się takowe w je-

dnym lub drugim szczególe wyśledzić lub też domyśleć dało, spieszy do religii, języka, prawodastwa i tego wszystkiego co ogół wewnętrznego życia stanowi. Erudycia autora jest rozległa, usilność wielka porządnego i wszelkim żądaniom odpowiadającego przeprowadzenia swego systemu. Niechcemy jednak utrzymywać że autor w wywodach swoich ma wszędzie słuszność za sobą. Owszem, jak w dziele poprzedniem, prosto bez żadnych przytoczeń opowiadana rzecz uderza niekiedy dziwną mocą prawdy; tak przeciwnie w nastrzępionem cytatami opowiadaniu Maciejowskiego spotykamy się nie raz z widocznemi niedorzecznościami lub kręnaniną, dowodzącą że dalej sięgły chęci niż rozum.

Polska wieków średnich, zapowiedziana w czterech tomach, a w jednym dopiero do nas doszła, składa się wprawdzie z prac dawnych autora, ale w bardzo znacznej części nowemi dodatkami odświeżonych. Znowu inna przestrzeń rozjaśnia się tu przed nami: przechodzim z autorem w pracownią dziejów ojczystych przypatrując się po rozmaitych zakątkach kraju, starym, okapturzonym figurom co nito jedwabniki snują z siebie drobniuchne włókna częstokroć nieświadomie, a z których ręka umiejętna stwarza jednalitą tkaninę historii, lśniącą żyjącemi farbami. Z artykułów zamieszczonych w tym tomie »Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa« najmniej mają wartości. Cała rzecz z gruntu chybiona. Autor brnie z domysłów w domysły, i nieudowodniwszy jednego, już czemprędzej drugi nasuwa od tamtego nielepszy: na czem rzecz objaśniana nierównie więcej szkoduje, niż gdyby ją zostawić bez wszystkiego. Wydanie tego uczonego dzieła przepełnione jest błędami Autor chciał opieszałość wydawców naprawić, i umieścił na początku kilka kartek sprostowań, lecz ci znów porobili mnóstwo myłek w sprostowaniach. Co za los smutny tej xiążki!

Donoszą z Warszawy. Przyjemne wspomnienie zostawił tu po sobie Kraszewski. Bawił tu dni kilkanaście i powszechnie się podobał. Mówi bez żadnej przysady, z wielką prostotą, od której odzwyczaiły nas geniusze i arcygeniusze tegoczesne. Korzeniowski Józef otrzymał tu miejsce dyrektora szkół. Mieliśmy z Kraszewskim, Korzeniowskim i innymi parę obiadów u j. K. które przypomniały nam owe dawniejsze mecenasowskie biesiady, na których męczono Marcinkowskiego, na których toczyła się walka romantyków z klasykami, które ożywiał swym dowcipem Osiński, zaszczycało tylu innych. Już o podobnych zebraniach teraz ani słychać, tem milsze więc były te które nas przypadkowo zgromadziły, że przeniosły nas w inne, już dalekie, a więc szczęśliwsze czasy. Kraszewski pracuje teraz nad historią malarstwa w Polsce: chce w niej spomnieć o wszystkich artystach Polakach, powiedział więc że nie może puścić w świat tej pracy nie zwidziwszy poprzednio Medyki i Odnowa, wie on dobrze jakie skarby mieszczą oba te zbiory. W tej chwili drukuje on pierwszy tom historii Litwy i powieść pod tytułem: Sfinx, wystawiającą życie artysty.

Korzeniowski wyda wkrótce nową powieść p. n. »Kollokacia.«

Między pismami czasowemi poznańskimi zajmuje jedno z pierwszych miejsc »Przegląd poznański« wychodzący co kwartał pod redakcią Jana Koźmiana. Dążność tego pisma jest czysto katolicka.

Adam zajmuje się teraz historią ojczystą.

Kronika muzyczna.

Z Paryża. Duprez profesor spiewu przy królewskiem konserwatorium muzycznem i pierwszy tenorzysta przy królewskiej wielkiej operze paryskiej wydał obszerne dzieło o spiewie »*L'art de chanter*« Całe dzieło rozpada na trzy części. W pierwszej uczy, jakim sposobem przez ćwiczenia wyrobić można rozległy wyrazisty i silny głos; w drugiej mówi o sposobach wyrobienia przyjemnego i popisowego głosu; w trzeciej części objął spiew całkowity, t. j. w połączeniu z muzyką. Dodane są solfedżie, wokalisy i melodie od najpierwszych mistrzów wzięte. Jestto zupełna szkoła spiewu teoryczna i praktyczna, jakiej dotąd jeszcze nie było. Osobliwie część praktyczna jest nieoszacowana dla spiewaków; złożony z najsławniejszych muzyków Meyerbeera, Halevy'ego, Aubera, Szopena itd. sąd w Paryżu, pozwolił to dzieło wpisać w rejestr francuskiego król. konserwatorium. W Berlinie u Schlesingera wyszło tłumaczenie tego dzieła w języku niemieckim.

Donoszą z Paryża, że nasz ziomek Szopen coraz mocniej zapada na zdrowiu, publicznie nie występuje nigdzie, czasem tylko w prywatnych domach słyszyć go można Boleśne wrażenie sprawia wtedy elegijna gra mistrza o bladej twarzy i gasnących siłach.

Xiąże Poniatowski zobowiązał się dla wielkiej opery paryzkiej napisać w tym roku operę, i obecnie tą kompozycią zajęty.

W koncercie, który Thalberg dawał w Tours wielkie oklaski odbierała panna Witkowska, której spiew doskonały oddawna podziwiany był w salonach paryskich.

Z Niemiec. Znany powszechnie kompozytor warszawski Ignacy Felix Dobrzyński osiadł w Berlinie. Jego kompozycie wielkie mają rozgłos w Niemczech. W dawanych w Berlinie koncertach gra jego chwalona była powszechnie.

W Lipsku ma dawać w tym miesiącu koncerta na gitarze Stanisław Szczspanowski wzaz z żoną pianistką. Przybył tam z Anglii, a angielskie i niemieckie dzienniki mówią o nim, że jest bez wątpienia najznakomitszym dzisiaj virtuozem na gitarze. Również chwalą celującą grę na fortepianie pięknej żony jego.

W Dreznie i w Lipsku występywała temi czasy w koncertach jako śpiewaczka pani Okólska. Podobał się jej głos silny, czysty i metoda doskonała. Kształciła się w Paryżu i we Włoszech.

Pan Niemczot odprawia teraz podróż artystyczną młody skrzypek Wasilewski. Dawał koncerta w Wrocławiu, Gdańsku, Berlinie, Królewcu, Itali, Lipsku i Kolonii. Jednogłośnie wszystkie dzienniki bardzo zaszczytnie wspominają o grze jego.

Z nowości muzycznych celniejsze utwory na fortepian, podajemy czytelnikom naszym.

Charles Mayer *»Nocturne«* op. 81. Mazurka op. 82. *Valse-Etude* op. 83.

Liszt F. *»Schuberts Märsche für das Pianoforte solo«* Ad. Henselt. *»Drei Lieder ohne Wort«* (Trzy piosnki bez słów.)

Burgmüller, op. 83. *»Ta main« Fant. Valse.*

Beyer, *Bouquets de Melodies* nr. II. z nowej opery Halevy'ego *»Le mousquetiers de la reine.«*

Grabowski Stanisław *»Petit Tableau musical en septieme polonaise dramatique.«*

Nowakowski kompozytor warszawski wydał cztery kantyleny.

W Berlinie wydano rocznik szósty *»Tanzalbum für das Jahr 1847.«* (zawiera rozmaitych znanych kompozytorów, Polones, Galopadę, Polkę, Mazura i Kadryla.)

W Warszawie wychodzi dziennik muzyczny numer jeden co tydzień, pod tytułem »Lutnia.« Po większej części zawiera spiewki polskie z towarzyszeniem fortepianu.

TEATR.

Janoszczyk trajedia w pięciu aktach przez K. W.

W córce stolnika kocha się młody człowiek, Roman, bez familii i majątku. Ojciec zamyśla wydać ją za starościca. Skłania więc Romana, który córce i ojcu był życie uratował przedtem, do opuszczenia zamku i stolnikówny na zawsze. Roman żegnając ulubione okolice, spotyka się z kochanką. Zrozpaczani oboje myślą uciekać; podsłuchał ich Starościc, wszczyna się kłótnia i pojedynek, w którym Starościc ginie, a Roman sam uchodzi przed pogonią, najpierw w dom matki, lecz i z tamtąd wypłoszony od pogoni, związany i zrabowany od zbójców w ucieczce. Mieszczanin nowotarski odwięzuje go poźniej, i sprowadza do domu swego. Tam poznany jako zabójca Starościca wraz z kochanką rabusia u której znaleziono rzeczy zrabowane prowadzony do więzienia, odbity zostaje od zbójców. Dostał się nareszcie między zbójców czego autor najmocniej sobie życzył, lecz jakże tu zrobić z niego zbójcę. Pomimo że Janoszczyk herszt zbójców po szyllerowsku dowodzi mu najgruntowniej o szczytności powołania zbójcy, o zepsuciu społeczeństwa ludzkiego, wszelkie dowody jak o opokę rozbijają się o cnotę Romana. W tem żołnierze otaczają gniazdo rabusiów, trzeba się bronić, a więc i Roman mogąc być pochwytany jako zabójca Starościca prze bija się przez wojska i wraz ze zbójcami ucieka do Węgier. Na tem kończy się akt trzeci. W akcie czwartym zbójcy wróciwszy z Węgier układają napad na zamek Stolnika. Roman o którym dowiadujemy się że już od zbójców nieodstąpił, choć zawsze cnotliwy i szlachetny, jako pielgrzym przebrany, przestrzega Stolnika, daje się poznać usychającej z tęsknoty za nim stolnikównie, dowiaduje sie, że znalazł familią, że wolno mu wrócić do kraju, że może otrzymać Annę. Roman w rozpaczy, powiada że wszystko nadaremno, zbójca Anny otrzymać nie może. Stolnikówna pada bez zmysłów i wstaje bez zmysłów, w najstraszliwszem pomieszaniu. Roman uchodzi by sobie życie odebrać, i Stolnikówna straszliwie pomieszana wybiega, a za nią wybiegają rodzice i matka Romana (koniec aktu czwartego.) Właśnie gdy Roman pistolet wymierzył w siebie, chwytają go zbójcy. Janoszczyk chcąc się pomścić zdrady, że przestrzegł Stolnika, przywiązuje go do drzewa, aby zwolna męczyć. Lecz niestety nowy kazus, żołnierze napadają zbójców, ci muszą się bronić, opuszczają Romana. Wtem nadbiega pomieszana Stolnikówna, nie poznaje Romana. Następuje najstraszniejsza scena przechodząca w komiczność. Roman musi przywiązany do drzewa patrzyć na Stolnikównę rzucającą się z wysokiej skały w Dunajec. Nie dosyć tego. Przybyli w pogoni za pomieszaną Stolnik i matka Romana odwiązują go, on chwyta za broń i wpada na ustępującego przed żołnierzami Janoszczyka i jako sprawcę całego nieszczęścia (że namówił go do zbójców) zabija go. Wtedy matka Romana odkrywa, że Janoszczyk to był jej mąż, którego rzuciła, a ojciec Romana. Jeszcze się na tem niekończy. Roman wychodzi na szczyt skały zastrzela się i rzuca w Dunajec.

Janoszczyk jest dramatem wypadków, a nie charakterów. Charaktery osób działających powinny być sprężyną i stwórcami wypadków, a w tej sztuce wypadki użyte jako sprężyny do działania osób. A że działanie nie płynące z wnętrza duszy lecz z obcych wpływów nie nadają życia charakterom, więc w tej sztuce charakterów nie szukać. Od początku do końca sztuki wszystkie prawie postacie nie mają ruchu wewnętrznego, bo zmiany mnóstwa wypadków i położeń za rozwijanie charakterów brać nie można. Wypadki zaś i położenia w ten dramat wchodzące nie są nowe, co chwila przypominają nam się dawniejszą znajomością. W autorze widać wielką znajomość sceny, wie jakie wydarzenia zwykle efekt sprawiają na scenie, wie jak osoby w podobnych wydarzeniach mawiać zwykły w dramacie, więc zbiera to wszystko w całość, która nagromadzeniem podobnem zająć może świąteczną publiczność. W repertoarz więc sztuk świątecznych ta trajedia wejść powinna.

Walenty Chłędowski, znany chlubnie w literaturze polskiej, umarł dnia 24 grudnia 1846 w Wietrznie, majętności swej w obwodzie jasielskim. Słabowite zdrowie niedozwalało mu w ostatnich czasach zajmować się literaturą tak, jakby sobie życzył; czynił jednakże co mógł i między innemi, ozdobił niejedną kartę naszego dziennika, swojemi artykułami.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.